



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

W duchów obcowanie
Z grobów zmartwychwstanie
Wierzymy Panie!

Odziany szatą żałoby,
Tłum smutnych śpieszy na groby,
Darzy je łzami i kwiatem.
Światła migają się drżące,
Zda się, że wschodzi tak słońce,
Nad mrocznym umarłych światem.
Lecz wkrótce blaski te zgasną,
Złamana siłą swą własną,
Boleść się zwinie w głąb siebie,
Samotne stoją mogiły,
Serca, co szczęście przeżyły,
Smutne są, jak po pogrzebie.
Jest przecież siła zaklęcia,
Co matkę do niemowlęcia
Z zaziemskich światów przyzywa.
Cię nad kołyską się chyli,
I już dzieciątko nie kwili,
Bo miłość przy niem jest tkliwa.
Miłość, co miękko je tuli,
I śpiewa:—Luli, o! luli,
Chociaż nikt głosu nie słyszy.
Mrużą się zwolna oczęta,
Sierotka przecież pamięta,
Co w nocnej działo się ciszy.

I potem ludziom powiada,
Że piękność jakowaś błada,
Schodzi doń drogą tajemną.
Choć ludzie z dziecka się śmieją,
Już ono z cichą nadzieją
Patrzy się w każdą noc ciemną.
Jak ta dziecinka sierota,
Niech w nas serdeczna tęsknota,
Zakwili za drogim cieniem,
A przyjdzie i powie:—Jestem!...
Nie zdradzon żadnym szelestem,
Powietrzniem unoszon tchnieniem.
Przyjdzie, tuż obok usiedzie,
Łagodnie utulać będzie,
Łzy otrze, jeżeli popłyną.
I serca nam nie rozsmuci,
Bo powie:—Wróć... i wróci
Samotnej ciszy godziną.
Na księżycowym promieniu,
Na lekkim wietrzyka tchnieniu,
Gość ukochany przybędzie.
I innych z sobą przywoła:
Miejsca im! miejsca u stoła!
Niech go rząd cały obsiedzie...
Ze słodko wzruszoną twarzą,
Niech o minionych dniach gwarzą,
Wspomnienia niech budzą stare:
Życia nadzieje wiosenne,
Poranku blaski promienne,
Zapał miłości i wiare.
To święte, cośmy kochali,
Dla czego na losów szali,
Kładliśmy serca i dusze,

Niechaj odżyje przed nami,
I powie nam, zlanym łzami:
Z grobowca zmartwychwstać muszę...

M. I.

WSPOMNIENIE POETY.

W dniu 16 zeszłego miesiąca, odbyła się w sto-
licy Węgier uroczystość narodowa, święto piękne
i wielkie: odsłonięto pomnik poety, ukochanego
przez kraj cały, Szandora Petöfi'ego. Tłum ogromny,
złożony ze wszystkich warstw społecznych, zale-
gał w okolo; ministrowie, deputacya sejmu, wre-
szcie wszystko, co w narodzie węgierskim czuje
i myśli szlachetnie, było przytomne. Przem-
owił najpierw burmistrz Pesztu, potem—po odsło-
nieniu pomnika — Jokay, przyjaciel i towarzysz
szkolny poety; następnie ozwał się chór, mający
odśpiewać hymn Petöfi'ego, lecz tłum połączył się
z nim nagle i wzruszone, uniesione tysiące śpie-
wały, jak jeden głos wielki. Ale najuroczystsza,
najwznioślejszą była chwila, gdy obsłony posagu
opadły. Poeta w mundurze wojskowym, officer-
skim, w takim, jaki miał na sobie w bitwie pod
Segeswarem, gdzie zginął d. 31 Lipca 1849 roku,
ukazał się w górze ponad zbitymi falami głów,
które odkryły się naraz pod natchnieniem jednym:
wszystkie, wszystkie — głowy tych najdumniej-
szych pod słońcem magnatów madziarskich i naj-
prostsze ludu. A odbyło się to wśród ciszy naj-
wyższej, która stała się nagle. Trwała minutę
jedną, ale była tak głęboka, że nie zmieszał jej
nawet szmer najbliższy: tłum stał nieruchomy i
tylko biły serca. Potem dopiero wybuchnął hu-

ragan przeciagłych okrzyków i wtedy-to wystąpił Jokay i przemówił. Znano serdeczny stosunek jego do poety i słuchano też z napięciem, a jakim jest język Jokay'a, jak jest gorący w kolorycie, jak wspaniałe w obrazowaniu, czytelniczy jego wiedzę. Uroczystość, skończona wkoło posagu, trwała jednak w mieście do nocy; większość tych, którzy w niej uczestniczyli, nie powróciła zaraz do domów, ulice zostały pełne i gwarne, śpiewano pieśni poety, a po cukierniach, kawiarniach, piwiarniach deklamowano je. Że zgon Petöfi'ego kryje tajemnicę, że nikt nie widział go umierającym, że nie znaleziono trupa — otacza to już pamięć jego jakimś urokiem fantastycznym, który oddziaływa na wyobraźnię i wzrusza ją. Długo bardzo nie chciano uwierzyć w śmierć; przypuszczano, że był wziętym do niewoli i uprowadzonym gdzieś daleko; to znowu, że ciężko ranny i uniesiony z pola walki, żyje kiedyś wśród dzikich puszcz, między batyrami, juhasami, panując temu ludowi koczownicemu, którym roją się nadbrzeżne Cissy obszary; to wreszcie, że zrozpaczony przegrana, przywłókł się do furty klasztornej i ogniste, namiętne serce swoje pokrył nazawsze habitem mnicha. Krążyło po kraju sześć wersji różnych tego przypuszczenia; gorąco wyobraźnia węgierskiego ludu widywała go to tu, to tam: pod kaptem zakonnika, pod gunią czykosa, pędzącego na dzikim rumaku przez stepy, pod postacią bladego, zmęczonego wędrowca, którego ktoś z miłością zabrał na wóz, lub posilił chlebem i winem. Ciężkie wtedy gospodarowanie Austrii w Węgrzech, ciężkie rządy Bacha z systematem silnej repressyi, uspasabiały umysły do tego: żalność serc rozbolełych snuła marzenia smutne, a przytem lud węgierski nie mógł się zgodzić na myśl, że ukochany jego śpiewak już nie istnieje, że przepadł nazawsze jak kamień w wodzie i nie powróci nigdy, nie ozwie się prostym a porwijającym serca głosem. Już teraz niedawno, trzy lata temu, nagle wybuchnęła, po całym kraju rozszerzona pogłoska, że Petöfi żyje i stała się tak silną, tak niespokojnie wzruszała naród, że skłoniła rząd do poszukiwań, prowadzonych na drodze dyplomatycznej, które jednak pozostały bez skutku w podwójnem znaczeniu, bo choć nie odkryto żadnego śladu, odpowiadającego przypuszczeniom, jednak nie stłumiono ich tak całkowicie, aby wyobraźnia uspokoiła się i przystała na rzeczywistość. Weterani z jego czasów, dla których był wcieleniem poezyi i bohaterstwa, lud po puszczach i dworach drobnej, a w Węgrzech, tak jak u nas rozrodzonej szlachty, kiwa smutnie głową, niedowierzając, i poeta bierze z rąk legendy cudowny hełm wiecznie żyjącego rycerza i śpiewaka swego narodu.

Jokay, którego słowa mogły tu mieć wagę i wiarę większą, niż kogobądź innego, powieściopisarz tak popularny i niemal tak drogi Węgrom, jak poeta Petöfi — tak drogi, tak kochany jak, na przykład, u nas Kraszewski, oświadczył narodowi z naciskiem smutnym, że są to wszystko mary zwodniczo ludzące, że śpiewak Węgier zamilkł nazawsze — umarł. „Od fatalnych czasów 1849 r., słyszałem sześć, zupełnie różnych powieści o jego losach — powiedział i drukiem ogłosił. — Jedne sprzeczały się z drugimi, zatem na sześć, pięć musi być fałszywych, a mogę twierdzić, że jest fałszywą i szosta. Nikt nie widział go umierającym, lecz że umarł — to pewność! Gdzie, jak, czy proch jego żywi kwiat nasz jaki? tego nikt nie może powiedzieć“.

Jokay napisał małą broszurę wspomnień o towarzyszu lat swych szkolnych, którego pokochał od pierwszej chwili poznania. To życie, zakończone w sposób tak tajemniczo-tragiczny, było już od początku swego istnienia fantastyczne, pełne samochcąc ściąganych na siebie przygód i doświadczeń, ciężko walczące z natchnieniem, które pracowało w piersi chłopięcej i szukało sobie drogi mozolnie. Natura bujna, szumiąca jak młode wino, które musi się przetrwać w sobie i wyrobić na wyborny dopiero — czysty i gorący — szlachetny trunk, zaczęła wcześniej przechodzić ten proces organiczny. Dziecko już było namiętne w ukochaniach swoich ideału i nie mogło też utrzymać się na utartym szlaku. Urodzony 1823 r., we wsi Felegyhazy nad brzegiem Dunaju, poeta miał du-

szą głęboką jak ta rzeka, ale też jak ona rwącą brzegi. W czynie i słowie doskonały wyraz ducha madziarskiego, nie był on jednak z pochodzenia Węgrem — był Rusinem i prawdziwe jego nazwisko rodzinne jest Petrowicz. Pierwsza jego poezya — z czasów szkolnych — drukowana w *Athenum*, które redagował bardzo ceniony i podówczas w literaturze węgierskiej pierwsze miejsce zajmujący poeta: Vörösmarty, podpisana jest: Alexander Petrowicz. Później dopiero przybrany pseudonym Sándor Petöfi stał się z czasem i na nieśmiertelność nazwiskiem jego, jednoczącym go jeszcze ściślej z ojczyzną węgierską, której synem czuł się duszą i ciałem i powtarza się tu to samo zjawisko psychiczne, co u nas z Polem. Doskonalej, a nawet wyłączej, wskrós naszym, nie był w zakresie naszej poezyi nikt, niż Pol, który tylko przez matkę szedł z pnia naszego. I w muzyce to samo jest z Szopenem, to samo w malarstwie z Grotgerem; także przez matki tylko są oni związani z nami, a jak cudownie, jak całkowicie, gorąco nasi! Nie wiadomo mi, czy i Petöfi miał matkę Węgierkę i odziedziczył po niej miłość Węgier: — „wziął w pierś magnetycznie“ ideały i wiary, uczucia i nadzieje węgierskie, ale niemniej stał on się tak narodowym śpiewakiem Madziarów, jak Jokay jest powieściopisarzem. Synowie jednej epoki, wychowani pod wpływem jednych wypadków historycznych, są niezmiernie podobni do siebie przez charakter utworów swoich rzutki, dzielny, rycerski i fantastyczny, niemający w sobie nic konwencyonalnego i nawet przy każdym spotkaniu się z konwencyonalnością, wychyli się natychmiast u obydwoh ironicznie się krzywiąca, szydząca maska Momusa. Jokay jest nieco mniej ludowym, niż Petöfi; lubi i nawet maluje najczęściej szlachcica węgierskiego, czy jest to magnat lub nie, ale musi to być natura oryginalna, samodzielną, nie paniczykowatą, nie wylegantowaną na salonowy sposób, tak swojską, że ma w sobie rysy blizkiego pokrewieństwa z ludem po puszczach, po czardach żyjącym, że jest w nim coś i batyara i czykosa, juhasa — że jest w nim Madziar! I w życiu obu tych pisarzy znajdują się podobieństwa, wspólność, łączniki bardzo silne: każdy z nich miał swoje epopeje rycerską, a potem tragedią okrutną, jak walenie się gór w doliny przy potopie zapadającego się pod wodą świata. Petöfi przepada wśród tej ruiny, ginie bez wieści i śladu, na podobieństwo jakiejś istoty mitycznej i Jokay woła smutnie we wspomnionym podobieństwie, spisanym o nim: — „Niema go! Zniknął jak błyskawica, o której nic nie wiemy, z kąd przyszła i gdzie się podziela“.

Tak też zupełnie przedstawia się Petöfi w stosunku swoim do Węgier. — Z kąd, na zasadzie praw jakich, przyszło im to zjawisko poety, będącego wcieleniem ich rodzimej poezyi, a który podzielił im się gdzieś, jak Eliaszy uszły w zaświat na wozie ognistym? Po Petöfim nie zostało nawet szaty, porzuconej pod drzewem, ani widzenia, któreby miał jaki uczeń wierny — nie! nie! zgoła.... Był im Tyrteuszem, aby potem stać się mytem, legendą, która straszyć będzie matki węgierskie, a budzić nocami synów. Jokay zakończył też tak smutną tę sprawę, która musi pozostać na zawsze tajemnicą, z nieoderwanymi pieczęciami.

— „Nikt nie wie nic więcej (niż o błyskawicy) i nie pytajcie też nikogo, prócz chyba tego łagodniejszego brata jego burzliwej duszy, wiatru wieczornego, który rozsiewając wśród natury popioły wielkiego poety, szepece zcicha.“

„Stań się prochem wraz z twoją w proch obróć [coną miłością! 1)

Jokay spisane wspomnienia o przyjacielu zatytułował: „Romans, a jednak nie romans“.

(Dalszy ciąg nastąpi)

1) Wiersz wzięty z poezyi Petöfi'ego.

OSTATNI FIGIEL

PANA WOJSZCZYCA

przez

Józefa Blizińskiego.

Był obywatelem porządnym, co się nazywa, miał parę wsi intratnych, bez grosza długu, i oprócz tego kapitał; nazwisko jego, do którego na mocy jakichś familijnych precedensów, przyczepiony był tytuł Wojszczyca, nadający mu zapaszek starego wina, wymawiano z akcentem przychylnym i dobrze uprzedzającym: a przecież, gdy z swoim jowialnym uśmiechem zbliżył się do kogoś, podając mu dłoń, ten ktoś nie cofał wprawdzie ręki, broń Boże, ale z niedowierzającym spojrzeniem usuwał się, jakby unikając laskotek, które groziły wyciągnięte ku niemu palce.

Dlaczego? Oto pan Wojszczyca był prawdziwie niebezpiecznym dla tych, z którymi żył poufalej, miał bowiem manję płatania figlów.

A jakiego to rodzaju były figle, można powziąć wyobrażenie z następującego chociażby zdarzenia.

W sąsiedztwie jego mieszkał bardzo zacny i poważany obywatel, p. Turkawiecki, z którym Wojszczyca żył w ścisłej przyjaźni.

Było to na wiosnę; p. Turkawiecki, wielki amator ogrodu, chcąc sobie urządzić ładny zajazd przed domem, sprowadził z kądś na parę dni ogrodnika Niemca, *kunstgärtnera*, jak się on sam tytułował. Niemiec wydarnował gazon przed domem, a wśród trawnika powycinał nader kunsztownie w rozmaite esy i floresy rabaty przeznaczone na kwiaty. P. Turkawiecki sam pilnował i ogrodnika i pracujących przy nim ludzi, niezmiernie zajęty całą robotą. Tego dnia właśnie wszystko było skończone i nie mógł się obywatel nacieszyć wdzięcznymi kształtami owego głównego klombu przed zajazdem i czterech mniejszych, umieszczonych po rogach dziedzińca.

Kontent przeto, położył się do łóżka i już zaczął zasypiać, gdy w tem usłyszał zdaleka zbliżający się turkot bryczki; ponieważ właśnie niedaleko, koło dworu i ogrodu, przechodził gościniec dosyć uczęszczany, p. Turkawiecki zrazu nie wiele zwracał na to uwagi, ale nareszcie turkot dał się słyszeć w dziedzińcu, tak jakgdyby ktoś zajeżdżał przed dom.

P. Turkawiecki, znużony i spragniony spoczynku, zaklął w duchu, odsyłając do wszystkich kadyków niewczesnego gościa; pomimo to, jako człowiek gościnny, już zaczął szukać koło siebie zapalek, ażeby wstać, gdy odgłos kół, zamiast zatrzymać się przed domem, zaczął się oddalać. Ucieszył się p. Turkawiecki, wnioskuje, że to jakaś omyłka i przewrócił się na drugi bok, gdy w tem turkot znowu przybliżyć się zaczął. Nie pojmuje, co to znaczy, wsparł na łokciu i zaczął słuchać: odgłos turkotu znowu się oddalił i znowu przybliżył i tak było do kilku razy, zupełnie, jakgdyby kto robił sobie zabawkę, zajeżdżając i odjeżdżając zprzed domu.

Nie było rady, trzeba było się przekonać, co to wszystko znaczyło: więc p. Turkawiecki zapalił świecę i wdział pantofle i szlafrok. Ale jakgdyby czekali tej chwili, zaledwie światło w pokoju zdradziło się mogło przez szpary w okiennicach, turkot zaczął się oddalać, i wkrótce zagłuszony został zajadłem ujadaniem psów, które tajemniczego gościa odprowadziły daleko.

P. Turkawiecki, wielce zdziwiony, wyszedł przed się, ale z powodu ciemnej nocy nic nie zobaczył, tylko usłyszał stróża nocnego, który gdzieś koło stodoły zgwiszywał psy. Zawołany przez niego, zeznał, że także nic nie widział, tylko, że obchodząc gumna z psami, usłyszał turkot przed dworem i właśnie szedł ku dziedzińcowi, gdy bry-

ka zaczęła się oddalać, przeprowadzona przez psy, które go wyprzedziły.

Domniamań było bez liku, a jedno nieprawdopodobniejsze od drugiego; ale ponieważ to nie prowadziło do niczego, więc p. Turkawiecki, poleciwszy stróżowi czujność i nakazawszy obejść zaraz wszystkie zabudowania, sam wrócił do siebie, i położywszy się w łóżko, niezdługo usnął.

Nazajutrz rzecz się wyjaśniła.

Gdy p. Turkawiecki rano wyszedł przed dom, aby obejrzeć wczorajszą robotę, oczom jego ukazał się obraz okropnego spustoszenia. Tak środkowy klomb, jak i boczne, po rogach dziedzińca, wszystkie owe kunsztowne rabaty, zniszczone były na nie; esy i floresy poznikały, zryte kopytami koni i kołami bryki—całe podwórze było zjeżdżone, jakgdyby kilkanaście bryczek i kilkadziesiąt koni tędy przeszło.

P. Turkawiecki wpadł w okropną passyę, tem większą, że nie było się do kogo przyczepić; sapiał, kłął, wymyślał, wypytywał; nareszcie, jakby nagłym oświecony światłem, zawołał:

— Ha! to nikt, tylko Wojszczyce!

I rzeczywiście tak było.

Pan Wojszczyce wysmiewał w p. Turkawieckim upodobanie w ogrodnictwie i odradzał sprowadzanie *kunstgärtnera*; a widząc, że się sąsiad do tego zapalił, nie mógł przenieść na siebie, żeby mu nie wyrządzić bolesnego figla. Wprawdzie wypierał się w żywe kamienie, sciskając i całując sąsiada najserdeczniej, ale wszelkie poszlaki mówiły przeciwnie i p. Turkawiecki długo darować mu tego nie mógł.

Albo innym razem znowu.

Tensam p. Turkawiecki sprowadził sobie aż z zagranicy nowe jakieś plugi świeżo wymyślone, imponując niemi ogromnie p. Wojszczycowi, który u siebie nigdy przenigdy żadnych nowości nie wprowadzał, i o co często obaj toczyli bardzo zaciete sprzeczki. P. Wojszczyce wymyślał na owe plugi, ale pomimo to zazdrościł ich: były mu solą w oku.

Więc jednego razu, gdy orano blisko jego granicy, poza wzgórzem, zasłaniającem widok od wsi p. Turkawieckiego, pan Wojszczyce czatował na chwilę, gdy w południe powyprzagano woły i same plugi zostawiono na parę godzin w polu. Wpadł wówczas z kilkunastu ludźmi, uzbrojonymi w szpadle, i wszystkie plugi na oranej świeżo roli pozakopywał.

Sądny dzień się zrobił, gdy, powróciwszy z obiadu, parobcy plugów nie znaleźli; w głowy zachodzono, gdzieby się podziały, tem bardziej, że śladów żadnych nie było, aby kto zajechał po nie wozem. Aż dopiero, gdy któryś z parobków utknął w świeżo poruszanej ziemi, przypadkiem znalazł jeden plug, za nim drugi opodał; ale nim trafiono do wszystkich i odkopano, zeszło do wieczora i parobcy całe pół dnia zmitrężyli.

Pan Turkawiecki jednak nie wziął tego tak do serca jak zniszczenie rabatów — i gdy, samym wieczorem spotkał przechodzącego się, jakby przypadkiem, z pieskami na granicy, pana Wojszycę, poszedł ku niemu, grożąc z daleka — p. Wojszczyce uklonił się nisko, a gdy się zeszli, uśmieł się do leż, jakgdyby było z czego.

P. Wojszczyce był uszczęśliwiony: udał mu się figiel.

— Kochasz mnie sąsiad? — rzekł do p. Turkawieckiego, ściskając go w objęciach — nie gniewasz się?

— Na niewiele-by mi to przydało — odparł tenże — chyba bym oddał pięknem za nadobne.

— Owszem! proszę, proszę — zawołał Wojszczyce — i nuż sciskać, całować sąsiada, nareszcie pociągnął go z sobą na buteleczkę, która przypieczętowała zgodę.

O panu Wojszczyce mówili sąsiedzi: dobry człowiek — i istotnie byłby dobrym, gdyby nie owa zyłka płatania figlów. Nie oglądał się na następstwa, byle znalazła się sposobność wzięcia kogoś na fundusz. Dla tej manji gotów był poświęcić nawet własny interes.

Onego czasu miał proces z rządem o kawałek lasu. Dla zbadania kwestyi kommissya skarbu delegowała jednego z urzędników wydziału dóbr i lasów, który był jaknajlepiej usposobionym dla p. Wojszycę. Ten ostatni, dla zabawienia p. kommis-

sarza, sprosił sąsiadów i urządził polowanie. Ale cóż się stało? Kommissarz miał na głowie cylinder, którego p. Wojszczyce strawić nie mógł, więc oto w jaki sposób dogodził swojej żylce.

Gdy w przerwie pomiędzy jedną naganką a drugą myśliwi zeszli się na polance, dla odpoczynku, zaczęto bawić się strzelaniem do celu. Jeden z sąsiadów szczególnie odznaczał się celnością strzałów i zbijał najdrobniejszy przedmiot rzucony mu w powietrze.

P. Wojszczyce rzekł do swojego gościa:

— Panie kommissarzu, zróbmy temu strzelcowi figla. Załóż się pan z nim, że nie trafi do pańskiego kapelusza: naturalnie zakład przyjmie, ale ja mu poprzędno jeszcze wykreję srot z naboju. Będzie śmiechu!

Warszawiakowi żart się podobał, zakład stanął. Ale trzeba było widzieć minę kommissarza, gdy z wyrzuconego w górę jego nowiuteńkiego cylindra, w jednej chwili zrobiło się rzeszoto. Wojszczyce srotu nie wykreślił.

Strzał ten kosztował go piętnaście morgów lasu; pan kommissarz zemścił się za przegrany zakład i za śmiech, na jaki się naraził.

Ale p. Wojszczyce miewał czasem pańskie wybryki i nie żałował nigdy tego, co zrobił. Wyjątkiem był dopiero ostatni jego figiel, który aż odchorował i po którym stracił zupełnie fantazyę; ale o tem poniżej.

W domu był prawdziwym despota. Żonę pochował już dawno, miał wszakże u siebie sieroć, której był opiekunem, córkę po rodzonym bracie, Marynię, dziewczátko żywe z natury, ale skutkiem excentrycznego z nią postępowania onieśmielone i skryte; chociaż kochana a nawet pieszczona przez stryjka, nie miała doń zaufania. Matkowała jej, niby ochmistrzyni, niby jakaś daleka krewna, panna Urszula, tytułująca się Łowczanką.

Tytuł ten, nadany starej pannie przez Wojszczyca, był jej utrapieniem, tem więcej, że cała okolica wiedziała o jego pochodzeniu. Ile razy wobec jakiego nowego gościa Wojszczyce chciał się pobać jej kosztem, wyprowadzał na stół tę materyę. Wówczas panna Urszula, nie czekając dalszego ciągu, odchodziła zirytowana.

Drugą ofiarą, którą p. Wojszczyce miał także passyę brać na fundusz, był jego dzierżawca na małym folwarku, stary szlachcic nazwiskiem Blyszczycki. Nad tym to już się nieraz znęcał niemal.

Razu jednego, gdy jechał sankami na imieniny w sąsiedztwo, a wypadła mu droga przez ów folwarczek, stanął przed dworkiem i, jakby miał najpilniejszy interes, jął wywoływać p. Blyszczyckiego. Starowina, posłuszny, wyszedł przed ganek w szlafroku i filcowych berlaczach tak, jak siedział w izbie, głowę tylko nakrywszy ciepłą czapką, dla zabezpieczenia łysiny przed mrozem. Aliści, skoro się zbliżył do sanek, p. Wojszczyce schwytał go silnie wpół i pociągnął do siebie, krzyknąwszy na woźnicę: ruszaj!

Sanie pomknęły wraz z p. Blyszczyckim, proszącym świętymi słowy, aby go Wojszczyce puścił; ale nic nie pomogło i rad nie rad zajechał aż do domu, w którym się odbywały imieniny. Mając za cały strój szlafrok i berlaczę, nie mógł, naturalnie, zaprezentować się tak wśród gości: więc zmuszonym był ukryć się w garderobie, gdzie przesiedział całą noc. Wprawdzie tak Wojszczyce, jak gospodarz domu, pamiętali o nim przynosząc jakby więźniowi wino i przysmaki z kolacyi, ale nie mógł on strawić tego i przez długi czas żywił urazę do Wojszycę.

Marynia w domu stryjowskim prowadziła życie niemal klasztorne: jedynym jej towarzystwem była panna Urszula, a zabawą kładzenie pasyansu, którego kombinacye, zapowiadające rój konkurentów, nie sprawdzały się jakoś. Gość wprawdzie nie był rzadkością; ale co mógł interessować obie kobiety jakiś tam sędzia albo radca w wieku Wojszycę: ktoś z młodzieży, to co innego; ale próżne marzenia, bo jeżeli się jaki trafił, to stryjaskę tak go przyjmował, że odpadała mu ochota do zawitania po raz drugi. Na tym punkcie p. Wojszczyce był sfixowany kompletnie. Każdego podejrzewał o spekulowanie na posag Maryi, który wynosił okragłe dwakroć stotysięcy złotych polskich złożonych w Banku. A że to było wiadomem całemu światu, jakże więc przekonać się, że

staranie było podjęte bezinteresownie, czego stary wymagał koniecznie?

Ztąd więc w uprzedzeniu swoim względem każdego, którego mógł posądzać o zamiary matrymonialne, zapominał o wrodzonej sobie gościnności i płał mu figle, trącając nieraz impertynencyą.

Raz np. przyjechał doń Fipcio prezesowicz, prawdziwa lala, pieszczoch mamci i papki. Ze miał do domu trzy mile przeszło, a czas był brzydki, bo to było w listopadzie, wypadło go zatrzymać na noc. Ale Wojszczycowi ani w głowie to było; owszem, gdy gość objawił chęć odjechania i kazał zaprządz konie, nie oponował, choćby dla ceremonii, i jaknajgrzeczniej wyprowadził go aż przed sięń.

Gdy znaleźli się na dworze, prezesowicz aż się wzdrygnął. Noc była ciemna, choć oczy wykol, śnieg z deszczem padał wielkimi płatami, wiatr dał przeraźliwie.

— Cóż za czas szkaradny — rzekł, cofając się mimowolnie.

— Prawda — odparł Wojszczyce, wystawiając nos na wiatr — kobieta-by się bała jechać; ale dla nas, mężczyzn, to bagatela. Sam niedawno wracałem w daleko gorszą porę.

— Od kogóż to? — bąknął prezesowicz, ale takim tonem, jakby mówił: cóż to był za jeden ten gospodarz, co pana puścił?

Wojszczycowi jakoś wstyd się zrobiło: czuł że, bądź co bądź tak nie wypadało.

Więc rzekł przez zęby:

— No, ale pan co innego, i jeżeli to panu robi różnicę, możeby... powiedz pan otwarcie, to każe wyprądz.

Gość dał milczące przyzwolenie, nie pytając się z jakiej daty miałby być „co innego“.

P. Wojszczyce kazał furmanowi zajechać przed stajnię, a prezesowicza wprowadził napowrót do pokoju. Ale namotał na wąż; wyrzucał sobie, że go tą gościnnością ośmiela i upoważnia do nadziei, o której ziszczeniu ani myślał.

Ponieważ panie odeszły już do siebie, sam przemęczył się z gościem z jakie pół godziny, a gdy służący oznajmił, że wszystko gotowe, odprowadził go do przeznaczonego dlań miejsca na nocleg.

Pomimo szkaradnej pory przebrnął z nim po błocie przez dziedziniec i zaprowadził go do oficyny, gdzie na jakimś stryszk, w odrapanym pokoiku, na zrujnowanym na pół kominie, bużował się suty ogień.

— Przepraszam pana — rzekł — że nie mam go ulokować gdzieindziej.

Prezesowicz zapewnił, że mu tu będzie bardzo dobrze, ale ze wstrętem spojrział na ściany, z których odpadało wapno, trzymające się gdzieś na pajęczynach rozpościerających się na wszystkie strony. Tylko ogień na kominu rozweselał nieco scenę.

— Tę oficynę zostawiam zwykle niezamieszkaną — rzekł po chwili Wojszczyce — a nawet myślę ją rozebrać. Wystaw pan sobie, co mi się zdarzyło. Przywieziono mi raz kilkadziesiąt funtów prochu z poleceniem oddania osobie, która się po niego zgłosi. Tymczasem czekam tydzień, czekam drugi: niema nikogo. Dobryś, myślę sobie, co tu robić z tym fantem? ha, trzeba gdzie dobrze schować, niema rady. Więc upatrzyłem miejsce tu w tej oficynie, na strychu, koło komina, zaraz za tą ścianą i, oderwawszy deskę, schowałem pod belkę. Gdy zawierucha minęła, chciałem proch zabrać — idę, szukam, niema... jak kamień w wodę; wyobraź pan sobie tak mi się w głowie pokręciło, że nie mogłem trafić na miejsce... raz mi się zdało że tu, to znowu gdzieindziej. Koniec końców od tego czasu mam ciągłego boja... niechby tak naprzykład pożar, co?... Ale panu, widzę, oczy się kleją — dokończył, patrząc dobroduszenie na prezesowicza, którego źrenice zwrócone na trzaskający w kominie płomień, zdawały się chcieć wyjść z oprawy — więc życząc przyjemnej nocy... a powiesz mi pan jutro, co się panu sniło.

Powróciwszy do siebie, Wojszczyce, kontent niezmiernie, położył się w łóżko; ale jeszcze nie usnął, gdy w dziedzińcu dało się słyszeć kłapanie podków końskich po błocie i cichy turkot kół powozu.

Prezesowicz, nie czekając rana, odjechał.

W podobny sposób, z małemi różnicami, przy-

mował Wojszczyce wszystkich młodych ludzi. Jedyny wyjątek stanowił niejaki p. Floryan, z którym stosunki Wojszczyca były dziwne i dla wszystkich niezrozumiałe. Gdyby go się kto zapytał: „Panie Wojszczyco, czy wydałbyś Marynię za Floryana?” byłby to uważał za wyrządzonej sobie afront. Jaki! wydać parukrośtotysięczną dziedziczkę za dzierżawcę kilkowłókowego folwarku? piękna partya! ni z pierza ni z mięsa—bo nie za nim nie przemawiało, chyba jedna młodość i jaka taka uroda. Jaki tam był wewnątrz, co myślał, jakie miał zasady, kaducy wiedzieli: jako człowiek i obywatel nie miał dotychczas sposobności dać poznać swojego sposobu myślenia. Tańczył zgrabnie i gry towarzyskie prowadził expédite, płeć piękna lubiła go, bo ją umiał bawić; ale ponieważ na liście kandydatów do stanu małżeńskiego figurował jako zero, przeto nie wchodził w rachubę papków, mam, cioteczek, obarczonych kłopotem o przyszłość jednej lub kilku dziewczęcych latorośli—a jeżeli wchodził, to tylko jako osobistość, na którą trzeba było mieć oko; bo że nie trudnoby mu było rozromansować jaką niedoświadczoną dzierlatkę, to nie ulegało wątpliwości. Tem więc dziwniejszem było, że Wojszczyce, który mógł być obawiać się o swoją Marynię, p. Floryana przyjmował w swoim domu kordyalnie, a nawet dopuścił do takiej zażyłości, że ten był u niego prawie domowym. Domysłano się różnie, tworzone najnieprawdopodobniejsze przypuszczenia; byli tacy, którzy dostrzegali zajączków w głowie Wojszczyca, ale nikt nie wpadł na prawdziwy powód jego niewytłómaczonej sympatii. Tymczasem, oto cały sekret: p. Floryan prowadził potajemny romans z panną Maryanną Fabiuszówną (także Marynia, dziwny zbieg okoliczności!) a tem samem płatał porządnego figla jej ojcu panu Fabiuszowi.

(Dokończenie nastąpi).

GROBOWIEC KRÓLA-POKUTNIKA.

(Dalszy ciąg).

II.

Poznaliśmy już według opisu p. Buszczyńskiego stan dzisiejszy zabytków; słówko jeszcze o podanej przez niego historyi utworzenia grobu i odnowienia pomnika. Czasy to już bardzo blizkie. W r. 1817 hr. Goess, małżonka gubernatora Galicyi, jadąc z Wenecyi do Wiednia, wstąpiła do Ossiachu, zwiedziła grobowiec, a lękając się zburzenia go przy zamierzonym pomieszczeniu cesarsko-królewskiej stadniny w murach opactwa, wyrobiła sobie, na wszelki przypadek, u cesarza Franciszka pozwolenie do pochowania zwłok królewskich w jednym z majątków swego męża. Gdy później kościół uszanowano, zajęła się pocziwa kobieta wzniesieniem pomnika ze składek, do których wezwała panów galicyjskich. Zebrano wszystkich paręset („quelques“ i „wenige“) guldenów i za nie hrabia Rudolf v. Goess, szwagier promotorki, wykonał pomnik według własnego jej planu.

Protokół opiewający te fakta, spisany poniemiecku i pofrancuzku w Treffen, poblizkiej majątności Goessów, znajduje się w archiwum kościelnem. Ogłasza go p. Buszczyński. Czytamy na nim podpisy: Stanisława Mniszcha, Jana i Alexandra Stadnickich, Alfreda i Maurycyego Potockich, Karola Krasickiego, Ignacego Konarskiego, Seweryny Sobańskiej, późniejszej hrab. Colloredo, i sześciu innych. Wyrażenie w brzmieniu niemieckim protokołu: „Dieses Grabmahl... errichtet und in bessere Einfriedung gebracht“ obudza wątpliwość: co rzeczywiście zrobiono dopiero wskutek starań pani gubernatorowej, a co już przedtem istniało?—czy owa tablica z koniem, istniejąca już niezawodnie od XVI w., była już wówczas wmurowaną w kościół i w temsamem miejscu, w którym jest obecnie, ponad grobowcem, a jeżeli nie, to kąd je wzięto? Wątpliwości tych nie rozstrzyga również protokół utworzenia gro-

bu, przechowywany wraz z poprzednim na probostwie; spisano go w d. 21 Czerwca 1839 r. przy dokonywaniu czynności. P. Buszczyński z protokołu tego wyczytał, że w grobie, oprócz niewielu kości i kilku żelaznych ewidth, prawdopodobnie od trumny, oraz spinki (wyżej już opisanej) nie znaleziono nic więcej. Wnosimy ztąd, — mówią dalej obecni przy otwarciu — że króla w pielgrzymiej jego sukni pochowano i uważamy tę spinkę (*Stangl*) za narzędzie do spinania, którem przytrzymywany był z przodu pod szyją kołnierz albo płaszcz odzieży pielgrzyma. Pod protokołem znajdują się podpisy: Franciszka Karla ówczesnego proboszcza w Ossiachu, Józefa barona von Sammen, zawiadującego stadniny, Rudolfa hr. Goessa, radcy górniczego, Jerzego Bardella, podporucznika; a na drugiej stronie świadectwo biegłego Jana Unzeitig, starszego lekarza przy zarządzie stadniny, który okazane sobie kości z grobu uznał za należące do szkieletu męzkiego, dość silnego i rosnącego. Resztki czaszki z czoła i tyłu pozwoliły biegłemu wyprowadzić wniosek, że w tych miejscach budowa głowy posiadała znaczną wypukłość.

Przechodzimy do świadectw historycznych, do czynności p. Buszczyńskiego, jako historyka. Tu z zalem wyznać musimy, że to, co w pismach codziennych ogłosił, wygląda raczej na pierwszą notatkę, niepotrzebnie pozaprawianą dziejami Villachu, Ossiachu, kościoła, klasztoru, uczonością dożów weneckich, barbarzyństwem wieku, obywatelcem się wrzekomo bez kronik, i t. p., aniżeli na porządny choćby plan opowiadania i wywodu historycznego, mającego z życia dać obraz a wątpliwości rozwiązać, jeśli nie w prawdę ostateczną, to przynajmniej w prawdopodobieństwo. Wszystko, co p. Buszczyński jako historyk grobowca Bolesława w ogłoszonej już pracy zrobił, ogranicza się do przejrzenia księgi miejscowej p. t.: *Memorabilien*, i odpisania ustępów, które za ważniejsze od innych uważał. Naukowa strona podróży p. Buszczyńskiego nosi na sobie znamiona wielkiego dylettantyzmu, pobożności, pośpiechu, braku wszelkiej najelementarniejszej metody w poszukiwaniach historycznych. Nieład wielki panuje w całym opracowaniu pomimo podzielenia go na paragrafy; autor zaczepia ciągle o wszystko, powraca do przedmiotów, przy których raz już się znajdował, miesza ciągle jedno z drugim i potrzeba rzeczywistej pracy i prawdziwego wysilenia, aby z tego chaosu wyprowadzić ład i wytworzyć całość, któraby spokojnie już i porządnie do umysłu wejść mogła. Przy danej już wartości przedmiotu zajmującego każdego Polaka, do niniejszego streszczenia pobudził nas właśnie wzgląd na niejasność, a ztąd i nieprzystępność opowiadania, w którym przecież mieści się niejedna wskazówka godna uwagi i zasługująca na rozpoznanie.

Wspomniane wyżej *Memorabilia* (Gedenkbuch) mieszczą się w księdze, którą dopiero w r. 1847 zaprowadził X. Franciszek Karol, proboszcz miejscowy, ów właśnie podpisany na protokole otwarcia grobu. W tej tedy księdze na str. 15 zapisano, że *Annus milesimus monasterii Ossiacensis*, dzieło powstałe w początku XVIII w., ale wydane dopiero w r. 1776, przekazuje o pobycie króla w Ossiachu następującą tradycję:

Bolesław II, król Polski, przybył do bramy zakonnej jako pielgrzym niemy. Podał furtyanowi kartkę z napisem: „Zlitujcie się nad biednym, niemym *Gottschalkiem* i przyjmijcie go do siebie“. Ówczesny opat „Teucho“ przyjął włóczkę i z powodu niezdolności jego do innych zajęć przeznaczył go do posług w kuchni, do rąbania i noszenia drew i t. p. Bolesław spowiednikowi swemu przyznał się do swej królewskiej godności, ale spowiednik ukrywał przyznanie to w tajemnicy i dopiero na śmiertelnym łożu sam wrzekomy niemowa stwierdził tożsamość swej osoby z wygnanym królem Bolesławem, a na dowód okazał pierścien królewski. Długo to świadectwo przechowywano w skarbcu; aż jeden z magnatów polskich potajemnie je zabrał, w miejsce pierścienia oryginalnego podkładając inny — umyślnie, oczywiście, zrobiony. Tym magnatem mógłby być książę Józef Alexander.

Zapisał dalej w swych *Memorabiliach* książdz

Karl, że widział przed laty stary kodex ossyacki który jeśli się nie myli, zostawał wtedy (po r. 1847) w posiadaniu kasnodziei miejskiego, księdza Marcina Mayera, a w tym kodexie pod r. 1084 zapisane było po łacinie: „Tego roku Bolesław król Polski, opuszcza swe królestwo, a po ośmiu latach odbytej pokuty umiera tutaj (w klasztorze Ossyackim)“.

Historią Bolesława opowiada prowadzący księgę pamiątkową, według źródeł niewskazanych przez p. Buszczyńskiego, w taki sposób:

„Po wyjściu z Polski, Bolesław trapiiony wyrzutami sumienia, postanowił odbyć pielgrzymkę do Rzymu. W drodze wstąpił do króla węgierskiego... Gdy pewnego dnia znajdowali się razem na polowaniu, przybył z Krakowa do Bolesława jeden magnat polski, a znalazłszy go w lesie, oznajmił mu, iż przez Papieża został pozbawiony tronu, wyklęty, a z nim całe królestwo kłatwie uległo. Doradził Bolesławowi, aby ratował się ucieczką; dał mu dla większej pewności swoją odzież a sam przywdział suknie Bolesława. Psy wracające z kniei, zobaczywszy owego posła w królewskich szatach, zagryzły go“.

Zgodnie z tem opowiadaniem monografia *Das Kloster Ossiach*, w Wiedniu w r. 1833 wydana, ukazuje nam Bolesława po owym polowaniu i ucieczce z Węgier, szukającego schronienia w dolinie Glanthal w Karyntyi. Tułacz nocował tu na drzewie; spadł z niego, złamał sobie nogę a podjęty przez leśniczego, w domu jego wyleczył się i powędrował dalej. Miał zamiar iść do Rzymu, na Wenecję, ale z Villachu zbieżył do Ossiachu i tu już na pokucie pozostał.

Z temi podaniami zagranicznymi warto zestawiać nasze własne. Nie przesądzając tego, co nam przyniesie autor przygotowywanej monografii, dajemy tu krótki przegląd świadectw kronikarzy polskich.

Najdawniejszy ze wszystkich, najbliższy wypadku, bo w niecałe 40 lat po opuszczeniu kraju przez Bolesława piszący, Gallus ogranicza się do wzmianki, że Bolesław, przybywszy na dwór Władysława, okazał tam taką pychę, i królowi samemu i jego otoczeniu, iż skutkiem tego „*cilius extrema dies eum, ut ajunt, occupavit*“¹⁾. Mgliste to niezmienne wyrażenie wskazuje, że kronikarz nie wiedział dobrze, co się stało z Bolesławem: a niewiadomość jego zadziwia nas musi tem mocniej, że przy stosunkach swoich z dworem mógł Gallus mieć bezpośrednie świadectwo od towarzyszy syna Bolesławowego, Mieczysława, którego Władysław Herman, w niezupełnie podobno czystych zamiarach, do siebie był sprowadził; można nawet przypuszczać i bezpośrednią znajomość, zawiązaną w dniach dalekich jeszcze od chwili, kiedy śmierć, z wielkim zalem narodu, pasmo dni młodzieńczych przecięła.

Ogólnikowość Galla udziela się Wincentemu. Tak on, jak dopełniacz Mierzwy twierdzą, że Bolesław zadał sobie śmierć „omdlałością duchową, zjęty“²⁾. Boguchwał okaże się oryginalnym tylko wtedy, jeżeli wyraz „ulcer“ weźmiemy w znaczeniu jego fizycznym, a nie w przenośni, jak chyba uczynić-by należało; wtedy też cała ta oryginalność wyda się tylko przeniebowaniem Galla. *Tactus pessimo ulcere in amentiam cecidit, sicque miserabiliter vitam finivit*³⁾: toż to taki sam ogólnik jak i dwa powyższe!

Aż do Dombrowki, któregośmy już poznali, ciągnie się jedno pasmo niewiadomości. Jednocześnie z tym poprawiaczem Kadłubka Annalista Sandomierski z r. 1430, powołany przez Lelewela, składa następujące świadectwo: *Ipse Boleslaus, mortis periculum timens, fugam in Ungariam dedit et ibi circa quoddam claustrum mansit, tanquam conversus, poenitentiam strictam peragens, vitam post decem annos finivit et ibidem sepultus*⁴⁾. Jest to swia-

1) M. P. H. ed. Bielowski; I, 423. „Przedz (niż być miało) dzieła ostateczny go pochwylił“. „*Ut ajunt*“ czyli ogólnikowość i chwiejność jeszcze większa.

2) *Ibidem*; II, 299 „*languor*“.

3) „Tknięty najgorszego rodzaju wrzodem (zgrzyzotą), wpadł w szal i tak nędznie życie zakończył“. M. P. H.; II, 489.

4) „Sam Bolesław, lękając się niebezpieczeństwa śmierci, ratował się ucieczką na Węgry, i tam około pewnego klasztoru przebywał, jakgdyby nawrócony, odbywając surową pokutę, (aż) życie po dziesięciu latach zakończył; tamże pochowany“.

dektwo ważne. „Ibi“ nie usuwa wcale Karynti; jeżeli bowiem istotnie Bolesław aż do niej lub do Styry w zdobyczach swoich był niegdyś dotarł, to ponieważ działał dla Węgier, i w ich interesie, wszystko więc, co choćby nakrótka zawojuwał, mogło być przez kronikarzy uważane za ziemię węgierską. „Post decem annos“ rozumieć należy „po dziesięciu latach tułactwa“ — co dawałoby datę r. 1089, odpowiadającą powyższej, pod obrazem zamieszczonej.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Piękna, dramat w 4-ach aktach, Wł. Okońskiego, przedstawiony poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości, d. 25 Października r. b; **Na wsi**, komedia w 4 aktach, Leopolda Świdorskiego, przedstawiona w Teatrze Małym.

Niepoprawni jesteśmy: hołdujemy cnocie, ale za pięknoscą lecimy, choćby przepaść. Żadne nauki nas już nie odmiennia; jesteśmy, jak byli ojcowie nasi, jak będą wnukowie. Piękno kobiece jest wielkim mocarstwem świata: wtrąca w przepaść nicości, ale i w nieśmiertelność Idealu przenosi. Na widok piękna czujemy coś boskiego — i nie kłamią poeci, gdy nam prawią o niebiosach, gwiazdach i aniołach. Grecya zginęła dla nas, ale nie zginęły piękne jej kobiety; uwieczniła je rzeźba, przechowało podanie. W proch porozsypanywały się pierwotne grody greckie, z ludzi i spraw ich, z ducha i zmysłów, ledwo mgliste zostały bajki: jedno tylko piękno kobiece ocalało. Liczne Afrodyty, Wenery, Diany, rozmaitych miast greckich, zwłaszcza w Azji Mniejszej, były tylko pięknymi kobietami, które niegdyś w tych miastach żyły, a za piękność swoją po śmierci fizycznej nieśmiertelności idealnej dostąpiły. Grekami wszyscy jesteśmy. Dziecięcy wzrok już ku pięknej twarzy najmilej się zwraca; sztuka plastyczna ideały swoje, jeżeli je ma i nie schodzi na służebnicę i kopciuszka natury, w piękne wciela oblicza; wdzięk i doskonałość myśli szukają dla siebie wdzięku i doskonałości ciała. Bez pięknej kobiety nie byłoby poezji i sztuki, a estetyczne znaczenie piękna kobiecego dla rozwoju świata jest równie wielkie jak samej istoty kobiecej dla jego życia. Poeta i powieściopisarz oddychają pięknoscą. Natura sama może nawet nie wydała dotychczas tylu prawdziwie pięknych i idealnych kobiet, ile ich nagromadzili w powieściach i poematach swoich wieszczowie i artyści. Każda ich bohaterka, jeśli nie ma być rozmyślnie brzydką, musi być koniecznie piękna; takimi je sobie maluje wyobraźnia samych czytelników i widzów. Człowiek łaknie piękna. Rzeczą jest moralistów ubolewać nad tem, że z równą siłą nie łaknie rozumu i dobra. *Homines sumus!*

Podjęmując temat *Pięknej*, Władysław Okoński — lecz na co pseudonimy, gdy nazwisko rzeczywiste stanowi dla wszystkich jawną tajemnicę? — p. Alexander Świętochowski, był głęboko przekonany o potędze piękna kobiecego dostrzegaczem natury ludzkiej, ale nie był poetą, a poetą dramatycznym najmniej. Nie szukajmy już porównań z literatury powszechnej: porównajmy tylko *Piękną kobietę* Korzeniowskiego, z tą *Piękną* p. Świętochowskiego: a poznamy odrazu kardynalną różnicę w tem, że pisarz dawniejszy chciał odtworzyć życie i żywe istoty, gdy nowy dążył do wygłoszenia zasad, wystawienia sprzeczności, przeprowadzenia pewnej tezy filozoficzno-obyczajowej, jednym słowem — do abstrakcji. Dramat Korzeniowskiego nie należy do rzędu jego najlepszych, twórcę zaś *Pięknej* uważać potrzeba za jednego z najbardziej utalentowanych pisarzy młodszego pokolenia: a jednakże utwór dawniejszy sprawia na nas pełniejsze, silniej dramatyczne wrażenie niż świeżo przedstawiony, a skutkiem rozgłosu imienia naprzód już otoczony aureolą genialności. P. Świętochowski ma świetne, poetyczne, a raczej poetycznie wyglądające, wysłowienie; ma pewną ciętość i zaciętość,

energiją i brawurę, namiętność i gorycz; umiał pióro swoje zaprawić do ciemności, któreby niejedno inne strwożyły; nie waha się nigdy, rąbie zawsze, i ma zawsze słusność; jest radykalistą z temperamentu, z potrzeby swego umysłu; jak ryba bez wody, tak on nie umiałby żyć bez krańcowości; lubi oskubywać wszystko, do samej skóry, i to mu jeszcze nie wystarcza: zdziera skórę i do żywego mięsa się dobiera. Wszystko to czyni z niego, przy zupełnym oddaniu się dziennikarstwu i pisarstwu literackiemu, istotną potęgę; ale potęgi tej działanie jest bardziej formalnem niż merytalnem, więcej znaczą w niem dzieła stylu niż dzieła przekonywającego i trwale przedmiotowe prawdy rozwijającego z siebie rozumu. We wszystkich utworach swoich należących do rodzaju prozy jest p. Ś. bardziej stylistą niż myślicielem, bardziej agitorem w świecie umysłowości, niż wyznawcą i głosicielem prawdy. Styl p. Świętochowskiego jest najlepszą częścią jego duchowego ustroju; ten styl właściwie nadaje mu godność rzeczywistego talentu. Nie wymagajcie tylko od niego, aby was nauczył i przekonał: sam p. Świętochowski przekonał nie ma; ma tylko namiętności. Może bez nich nie miałby i stylu — ale ponieważ nie wiemy, czy przy nich miałby siłę przekonywania, prawdziwym myślicielem właściwą, bierzemy więc to, co jest. Przetyłem nie wszystko, co z pod tego pióra wychodzi, ma samą tylko formę i jej zalety; znajdzie się nieraz i ziarno treści, zdrowe i pożywne. Z przykrością patrzymy na nienawiść p. Ś. ku duchowieństwu, na walkę, w której nam pisarz utalentowany Voltaire'a *in duodecimo* przypomina. Większą jeszcze przykrość sprawiać muszą polemiki p. Świętochowskiego, często w grubiaństwo i trywialność wpadające. Patrząc, jak zdolny pisarz macha i rąbie naprawo i nalewo, jak maluczko nieraz broni swego ja, kiedy powinienby bronić czystej świętej prawdy, choćby z własną swą krzywdą — żalostnie posyła się westchnienie ku Temu, którego każdy człowiek normalnie rozwinięty ponad ziemią, ponad światem, koniecznie czuć musi: — Mój Boże! żebym ja miał taki styl, jakżebym stał się dla braci moich użytecznym! Tak jest, p. Świętochowski marnuje swój niepospolity talent; złoto otrzymane od Natury zamienia nieraz na proste zaśniedziałe miedziaki i cośmy przed dziesięcią laty mu wyróżyli, to dziś dostrzegamy: coraz mniej jest w nim treści, myśli, coraz więcej słów, a pomiatanie wszystkiem grozi duchowi jego kalectwem najstraszniejszym ze wszystkich: ubóstwieniem samego siebie.

Ale chociażby nawet w dzisiejszej działalności człowieka, jako agitatora postępu — nie było nic dodatniego, jedna jej strona zasługujeć będzie zawsze na uznanie i imię p. Świętochowskiego do historii literatury wprowadzi: odwaga. Redaktor *Prawdy* nie waha się wypowiadać prawdy, kiedy inni milczą. Nie jest on bohaterem w duchu Carlyle'a, bo na to ma zamało spokojnej siły, nakazującej powagi, pochłaniającej przeciwność głębokości; ale jeśli odrzucimy uwłaczające jego talentowi wycieczki przeciwko duchowieństwu i prassie, jego nieprzyzwoite polemiki *pro domo sua* — będziemy musieli powiedzieć, że jest to rzeczywiste człowiek piórem pracujący i walczący, gotowy zawsze do boju, nieuciekający nigdy za wały i płoty: natura pisarska wyższa, choć umysł do skutecznego działania niezupełnie szczęśliwie ukształtowany. Sami nie należąc do żadnego obozu, niezwiązani niczem, nieulegający żadnym powagom, dalecy od czci i przesady, możemy bez nienawiści patrzeć na talent p. Świętochowskiego, tak, jakbyśmy patrzyli na każdy inny objaw tego świata. Nie mamy mu za złe tego, że jest racjonalistą: racjonalizm męzką jest rzeczą, a za długo gniotła nas uczuciowość, znęcał się nad nami fanatyzm; mamy mu tylko za złe to, że sam jest fanatykiem, że dla formy poświęca treść, a treścią nieraz obraża prawdę. Od tak wielkiego talentu mieliśmy prawo większych spodziewać się rzeczy. Cośmy powiedzieli przed dziesięcią laty, to i dziś powtórzmy, że pisarz ten zawczasie wszedł na drogę publicystyczną i kto go na nią wprowadził, ciężki zda kiedyś przed Bogiem rachunek. Przed trzydziestym rokiem nie wolno było w Rzymie zostać senatorem: publicystyka to nasze życie publiczne, to nasz senat: talent wiele może, wiele po-

kona, ale zniszczyć czasu nie zdoła, a czasu właśnie potrzeba, aby dojrzeć na publicystę.

Po tej charakterystyce pisarza-prozaika czy potrzebujemy jeszcze co mówić o pisarzu-pięknotwórcy, o autorze dramatów i nowel? Styl mało-wniczy, poetyczny, jeśli chcecie, dowcipny lub gryzący, a w każdym razie silny: to wszystko, czego odeń wymagać można. Nie wołajcież na niego o poezję, bo on wam dać jej nie może; jest za-nadto tendencyjnym, zanadto racjonalnym, zanadto wobec piękna zjawiskowego w życiu sceptycznym, zbyt silnie i bezwzględnie wierzy w bezwiedność w dobrem, a niewinność w złem, w nieosobowość, a więc w nieistotność człowieka, — aby mógł być poetą. Racjonalista *par excellence*, nie zdoła się on już niczem zachwycić, niczego ukochać; ma dla siebie tylko rzeczy pożądane i rzeczy wstrętne. Gorącość jego jest czysto mózgową: serca w niej niema. Poezja stylu p. Świętochowskiego jest niewolnicą prozy jego myśli: czujesz w niej ogień, co nie grzeje, blask, co nie czaruje, piękno, które nie przykuwa, i ani etycznie ani estetycznie słuchacza lub czytelnika nie uszczęśliwi. Brak też p. Świętochowskiemu potęgi twórczej — t. j. zdolnej wytwarzać w sztuce żywe istoty, żywe dzieje, równoległe z naturą biegnące objawy ducha i wypadki. Cała potęga stylu wniwecz się obraca, gdy jej autor każe wytwarzać ideały i plastycznie je potem uwidamiać. Powstają kształty, ale nie-żywe. Styl p. Ś. przypomina tę matkę, która przez zbytnią gorliwość dzieci swoje dusiła: przebiera miarę — i zabija. Rzeczywistą żądzą, rzeczywistą nieprzepartą potrzebą twórczą tego pióra nie jest tworzenie życia i istot, ale tworzenie zdań i metafor. Nie pamięta autor *Pięknej* — ale na co by mu się zapamiętanie przydało! — że niema wielkiego talentu w sztuce bez domieszki tego, co Horacy nazywał „*dementia*“, a co w każdym razie występuje jako pewna naiwność, zdanie się na wolę jakiejś potęgi wyższej, swoboda ducha czującego i kochającego życie i piękno dla nich samych a nie dla żadnych dalszych, poza sztuką leżących, celów.

Prawdziwym dramaturgiem był, nie ten, kto w piękne dyalogi umiał rozumne myśli spowijać; kto wielkie i ważne dla społeczeństwa lub nauki życia społeczne kwestye poruszał; nie ten, kto najwyżej jako myśliciel i stylistą stanął; ale ten, kto, w mrowisko ludzkie wrzucony, w oceanie nieszczęść i namiętności własnych skąpany, umiał drgnienia serca ludzkiego podsłuchać, kto je w jego wielkości i w upodleniu poznał, kto wewnętrzną mechanizm człowieczy odczuł; nieskończoną różnorodność natury pochwylił i wziął sobie na własność, — ten wreszcie kto zdołał życie Natury do sztuki swojej wprowadzić. Trzeba mieć jeszcze złudzenia, gdy się chce być dramaturgiem; trzeba mieć jeszcze złudzenie, że albo życie samo, albo człowiek w tem życiu jest pięknym. Logika rzeczy mści się na umysłach racjonalistycznych, do zapалу artystycznego niezdolnych — tem, że im nigdy nie dozwala odtworzyć prawdy życia, nie daje im tchnąć ducha w glinę człowieczą, chociażby najlepiej ulepioną. Tak! Wiara estetyczna musi być pierwiej w twórcę samym, zanim wpłynie w słuchacza lub widza. Kto tworzył nazimno, kto prozę pomysłu — będącego rzeczywistym utworem, jego duszą, jego istotą — wypełnił poetycznymi wyrażeniami, kto pozapalał ognie sztuczne w miejsce słonecznego blasku samej natury ludzkiej, szczerze, z naiwnością, z oddaniem się zupełnie odcutej, a z bystrością rozumu pochwyconej — ten nie może wymagać, aby jego dzieło mogło mieć znaczenie inne, a nie prostego tylko opisu stylowego, na dany temat przeprowadzonego. Wyjdziemy z teatru, jak z gabinetu figur woskowych, za które mówił, których tajemnice nam odsłaniał, wymowny, poetycznie wysławiający się, darem słowa niepospolitym obdarzony przewodnik; ale one same milczały — były zimne i martwe.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Pamiętnik fizyograficzny; wydali: Eugeniusz Dziewulski i Bronisław Znatowicz. — Warszawa, 1882 r.; tablice i mapy (str. 521, 8-o max.).

(Dokończenie).

Kazimierz Łapczyński w artykule „O roślinności jawnokwiatowej okolic Warszawy“ opisuje wpływy korzystne i zgubne, jakie dla flory okolic Warszawy w ostatnich czasach wynikły. Niekorzystnie oddziaływają na florę: karczowanie lasów, zaorywanie nieużytków, osuszanie błot, pasanie w lasach, zakładanie cegielni i fabryk, budowa dróg żelaznych i t. d. Skutkiem tego wiele bardzo roślin, które jeszcze Jastrzębowski i inni dawniejsi botanicy zbierali, dzisiaj już bezpowrotnie znikło; do takich należą: czosnek fałszywy, barwinek, kozłek rozdzielno-kwiatowy, zimowit jesienny, żabieniec jaskrowaty i t. d. Natomiast dużo roślin daje się w okolicy Warszawy widzieć takich, których dawniej nigdy nie spotykano. Najciekawszym, a niedawnym nabytkiem flory naszej jest amerykańska roślina wodna: *Elodea canadensis*, która rośnie w łasze wiślanej, oddzielającej Pragę od Saskiej Kępy. Oprócz tego na jeziorach na Saskiej Kępie dużo exemplarzy tej rośliny widać. Przed czterema laty dostrzeżono też samą roślinę w Otwocku i w Białobrzegach, a Rehman znalazł ją pod Krakowem. W Parku na Pradze pokazała się w ostatnich czasach roślina, nieznana u nas dawniej, namulnik wodny. Wiklina cebulkowa, która teraz dosyć obficie na lewym brzegu Wisły rośnie, prawdopodobnie przybyła do nas z wojskiem z Rosyi, gdzie ją w niektórych miejscowościach widywano.

Tenżesam autor podał w dalszym ciągu opis babki górskiej, oraz opis niektórych roślin, które napotkał pomiędzy Strzemieszycami a Solcem.

A. Watecki opisuje (materiały do zoografii Polski) skrzeki czyli amphibia. Są to zwierzęta ziemno-wodne, albo jak inni mieć chcą, wodo-ziemne, które legną się w wodzie z jaj bezkorupnych, ale po wylęgnięciu przebywać mogą tak dobrze w wodzie jak i na ziemi. Autor proponuje nazwę tę, z powodu skrzeczenia tych zwierząt w porze rozplodowej. Skrzeki dzielą się na bezogonowe i ogoniaste, do pierwszych należą następujące rodziny: żabki drzewne, żaby właściwe, ropuszki i ropuchy; do drugich zaś: salamandry i trytony.

W artykule „Zwierzęta zaginione“ przez Antoniego Słóarskiego, znajdujemy ciekawy opis tura (bos primigenius), którego głowę znaleziono w roku 1877 we wsi Przystani, powiecie Makowskim. Głowa ta wydobytą została z rzeki Omulwi; należy do bardzo pięknych okazów paleontologicznych, jest zachowana dobrze, koloru ciemno-brunatnego, rozmiarów bardzo wielkich; podobną jest do takiejże głowy, znalezionej w 1880 r. we wsi Wysoka pod Grójcem. Oprócz głowy, znaleziono jednocześnie trzy kręgi tegoż zwierzęcia, kawałek rogu, kości ramiennej i miednicy. Następuje opis szczątków nosorożca włochatego, znalezionej w Szczęślewicach w 1880 i 1881 r.

Pomijam artykuły Mieczysława Kowalewskiego, Dra Sznabla i Osterloffa, jako zbyt specjalne i przechodzące do antropologii.

Tymoteusz Łuniewski podaje opis wrzaz z drzeworytami dwóch mogił, jakie odkopano w Żarnówce. W mogiłach tych znaleziono dobrze zachowane szkielety; przy jednym z nich leżał miecz żelazny w drzewo oprawny, przy obydwóch zausznice, perełki, pierścienie brązowe na palcach i t. p. ozdoby. Zygmunt Glogier opisuje kurhany litewskie, a Dr L. Dudrewicz czaszkę kurhanu zpod Wiszowa.

Jan Karłowicz skrętnie z rozmaitych źródeł zebrał „Imiona niektórych plemion i ziem dawnej Polski“. Dowiadujemy się tu o etymologii wielu nazw dobrze nam znanych i naodwrot podane są znaczenia nazwisk mało komu znanych, a jednak w pewnych okolicach kraju używanych. Dolarcy, nazywają się mieszkańcy dolin, wzdłuż granicy

pruskiej, na północy od Cieszyna; Dolińce zaś, są mieszkańcy Krasnego Łęku, około Żabiego. Dzuki, są mieszkańcy powiatu Kalwaryjskiego w gubernii Suwalskiej, pochodzenia litewskiego; nazywają ich tak z powodu, iż miękko wymawiają spółgłoski *d i t* (jak *dz i c*). Gardłakami nazywają Spiżaków, z powodu, iż mają grube szyje i wola. Ztąd prawdopodobnie powstał wyraz karlak, którym w „Słowniku terminologii lekarskiej krakowskiej“ przetłómaczono wyraz kretyn, idyota. Nie trzeba jednak z tem mieszać wyrazu charlak i cherlak, który ma inne pochodzenie. Ciekawe jest pochodzenie wyrazu Hucyły, oznaczającego lud zamieszkały we wschodniej części Karpat; według autora pochodzi on z języka rumuńskiego, w którym hoc, a właściwie huc z dodatkiem ub, znaczy rozbójnik. Professor Hasdeu z Bukaresztu twierdzi, iż pochodzi to od hoc, sposobu nawoływania ludzi, którzy pędzą złapanych zbrojczych do więzienia. Oprócz tego na Podolu istnieje wieś Hocuły albo Hucuły.

Kurpie, wyraz oznaczający jak wiadomo „plemień mazowieckie, osiadłe w puszczech Ostrołęckich i Myszenieckich“, pochodzi, według autora, od wyrazu słowiańsko-litewskiego kop (kroić), z kąd kerpu (kroję, strzygę); zepsuty ten wyraz miał oznaczać szczególnego kroju obuwie, który mieszkańcy owi od Litwinów przejąć mieli.

O wyrazie Ruś, autor podaje w streszczeniu niedawno wydaną rozprawę Thomsena, który twierdzi, że nazwę Ruś, nie sami Rusini sobie nadali. Ruś ma być według niego słowiańskim przerobieniem nazwy fińskiej, bo pofińsku Ruotsi znaczy Szwecya; ten ostatni wyraz ma być skróceniem staro-szwedzkiego wyrazu znaczącego wiosło, a pochodne od niego miało pewnie oznaczać wiosłarzy lub żeglarzy. Białorus pochodzi od białej sukmany i białego stożkowego kapelusza, które lud tej okolicy do dnia dzisiejszego nosi.

Żmudz i Żmujdz, pochodzi ztąd, iż każdy Żmujdzin nazywa siebie Żemajtys a ziemię swoją Żemajczu; nazwa ta pochodzi od žemas (nizki), žeme (ziemia). Żemajtys oznacza zatem mieszkańca niziny, w zestawieniu z górną Litwą, to jest południowo-wschodnią.

Te i tym podobne uwagi znajdujemy w wielce interesującej rozprawie p. Karłowicza. Słowniczek ten, nie jest wyczerpującym, ale stanowi pierwszą próbę opracowania imion i plemion Polski; autor przy końcu tak tę rzecz przedstawia i zachęca do dalszych badań pod tym względem.

Z powyższego zestawienia widzimy, jak bogatym w treść jest drugi ten tom *Pamiętnika fizyograficznego* i jak ludzie miłujący kraj rodzinny i pragnący gruntownie go poznać, powinni całemi siłami popierać to arcy-pożyteczne wydawnictwo. Miejmy nadzieję, że autorowie, dzielni uczeni i zacięni obywatele kraju, nie ustaną w pracy a zachęceni przez ogół, dalej w tym kierunku pracować będą.

Dr Gustaw Fritsche.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 20 Października 1882 r.

Ubóstwo literackie. — Społeczność dzisiejsza i literatura. — Jak cię widzą, tak cię piszą. — P. Barbey d'Aureville. — Człowiek i pisarz; jeden rys z jego życia: przedstawienie „Lukrecji Borgii“ w 1839 r. — *Niesłychana historia*, nowa powieść p. Barbey'a. — Teatr i nowa sztuka p. Becque'a: *Kruki*. — Pierwsze przedstawienie i krytyka literacka. — Upadek; jaki jest prawdziwy powód niechęci dla autora i dla dzieła? — Dramat ludowy: *Pani Teresa* — Erckmanna i Chatriana. — Niepowodzenie, dla jakich przyczyn.

(Dokończenie).

Patrząc, szukam oczyma, i w pierwszym rzędzie foteli przeciwnego nam balkonu, widzę człowieka słusznego wzrostu, z podniesionem czołem w dziwnym trochę stroju; człowiek ten macha rękami, powiada coś i grozi tym, którzy mu nawzajem nie szczerzą zapewne obelgi; chociaż nic słyszeć nie można wśród tumultu i wrzasku, jaki napełnia teatr. Tymczasem zapuszczono korytnę w poło-

wieaktu, a republikanie, jak wściekli, wołają: „Za drzwi!“

— Za drzwi? — woła ogromnym głosem człowiek, którego widzę na balkonie. — Jakiż mnie obecnie wyrzucić za drzwi, moi panowie? Jak to? czyż nie miałbym prawa, ja, zaprotestować, kiedy wy przyswajacie sobie prawo oklasków! Ja nie miałbym prawa wyswistać p. Hugo'a, którego pochlebcy *mamelukują* mnie codzień!

I wyciągniętym palcem wskazywał na redakcyę *Rappelu*, złożoną z p. p. *Vacquerie, Lockroy, Meurice i Pawła Fauchera*. — „Świstałem, panowie, i będę świstał!“

Obelgi sypały się na zuchwalca zewsząd, aż nakoniec kilku z przyjaciół Barbey'a skłoniło go do opuszczenia teatru, gdzie nawet życie jego mogło być narażone na niebezpieczeństwo.

Takiego-to stylu jest oryginał i człowiek pióra, stworzony do polemiki literackiej; posuwa on w niej zuchwalstwo do ostateczności, i wali jakby motyką lub gryzie zębami przeciwnika.

Otoż nowa jego książka, owa-to „Niesłychana historia“, jest rzeczywiście niesłychaną książką, i aby się przekonać jak dalece jestto prawdą, że społeczność tworzy literaturę, zamiast ciągnąć z niej moralne korzyści, oto pisarz wytrawny, szermierz, co pół wieku przeżył z piórem w ręku, konserwatysta zjadły, uniesiony tym prądem naturalizmu, przynosi nam książkę, którą mógłby podpisać, nawet jeden z redaktorów takich dzienników, jak: *Le Père Duchesne*, albo *Le Mot d'ordre*.

Powieść ta dziwnie wywarła wrażenie, nawet na tutejszą czytającą publiczność. Zarzucono, nie bez racji, autorowi, że pisze dla hysteryczek i ludzi nerwowych; możnaby coś więcej dodać jeszcze. Dziwnem zdawać się musi, iż pisarz tego, co autor wieku, doświadczenia i wprawy, okazuje w swem dziele taki upadek nieraz, przy wielkiej świetności i blasku; a szczególnie uderza nas to ciągle i nadzwyczajne upędzanie się za jeffektem, choćby za pomocą nędznych i niegodnych talentu wybiegów. Smutne to jest, a tak charakterystyczne: w czasach, w których żyjemy, i w tym tu kraju, wszystko może się zdarzyć — i zdarza się.

O *Ustach pani* (trzy gwiazdki) Adolfa Belot'a, i podobnych temu powieściach, niema nawet co mówić, bo tu ani przymioty twórczości, albo spostrzeżenia, ani zalety stylu i języka, nie upoważniają nas do zaprzatania uwagi czytelnika. Są to wyroby, a nie dzieła. Całe ich tuziny zasilają codziennie handel księgarski, i całemi też tuzinami idą one na makulaturę. Tymczasem z niezmiernem zdziwieniem dowiadujemy się niekiedy, że tę lub ową powieść tłómaczono u nas; idę do źródła i widzę, że tłómacz wart autora!

Co do tłómaczeń zagranicznych, czytam w tutejszych dziennikach, że w Petersburgu już przedstawiają na scenie tłómaczenie nowej sztuki, której pierwsze tu ukazanie się narobiło niemało hałasu i wydawało się zarazem pogrzebem autora i jego dzieła. Mówię tu o sztuce p. Becque'a, pod tytułem: *Kruki* (Les Corbeaux)...

Te *Kruki* p. Becque'a, są to tak zwane u nas *Kruczki*, nieprawe dzieci Temidy, które się zlatują całą gromadą, jak tylko ich doleci zapach trupi, to jest, skoro się otworzy jaka sukcesya z nadzieją polowu w mętnej wodzie.

Akt pierwszy wprowadza nas do domu zamożnego fabrykanta p. Vigneron'a, wśród przygotowań do ślubu. Tegoż wieczora fabrykant sprawnia obiad i obchodzi zaręczyny Blanki Vigneronówny, najmłodszej z jego trzech córek, z p. de Saint Genis'em, młodym paniczem, który za całą fortunę posiada imię i pracuje jako aplikant w biurze jakiegoś ministerium. Ale państwo młodzi są zakochani w sobie, a p. Vigneron daje dwakroć sto tysięcy posagu córce.

Dwie starsze siostry narzeczonej, Judyta i Marya, chociaż ładne i godne miłości, ani myślą o małżeństwie i radują się serdecznie szczęściem młodszej siostrzyczki.

Cała ta wielka rodzinna radość ze swemi sprzecznociami, jakie zachodzą pomiędzy prostą i naiwną trochę dobrodusznoscią rodziców, a już wyższemi dążnościami córek, zręcznie i subtelnie schwyconemi przez autora — cała ta, powiadam, radość, niknie nagle, jakby od uderzenia piorunu.

P. Vignerona, który się uskarżał od rana na jakiś ciężar w głowie, przypisując go zbyt ciężkiej pracy, wracając z przechadzki, i w chwili gdy miano usiąść do stołu, umiera, rażony apoplexyą!...

Ten akt pierwszy — jestto więc pewien rodzaj prologu. W następnych trzech aktach, które stanowią właściwie sztukę, widzimy zlatujące się kruki na rozszarpanie spadku wdowy i dzieci p. Vignerona.

Nieboszczyk uważał się za bogatego; jego przedsiębiorstwo i fabryki przynosiły mu rokrocznie przeszło stotysięcy franków; ale na jaką kwotę można obliczyć jego sukcesyą? Składa się ona naprzód z fabryki, która była w połowie własnością p. Vignerona i jego spółnika p. Teissiera; następnie z gruntów kupionych w Paryżu, przeznaczonych pod budowę domów, kupionych w części za zyskane zarobki na fabryce, w części za pieniądze pożyczone i hypotekowane na tych gruntach. Taki to jest kapitał i fortuna, którą Teissier postanowił zagarnąć za liche pieniądze i najtańszą cenę, dzięki występniemu porozumieniu się z notaryuszem rodziny Vignerona, niejakim Bourdonem.

Projekt osnuty przez tych dwóch kruków, powiedzmy prawdę: przez tych dwóch łotrów, zależy na tem, aby tak zniżyć cenę posiadanych gruntów, nim się wdowa potrafi dowiedzieć o ich przyszłej wartości, iżby te za bezcen sprzedane być mogły. Co zaś do fabryki, zamiast prowadzić dalej wspólnie jej eksploatacyą, zostanie ona sprzedana przez publiczną licytacją na żądanie p. Teissiera, działającego według Bourdona na mocy jakiegoś artykułu kodexu. Wszystko to jest fałsz i mactwo, ale w teatrze nie chodzi wcale o ścisłość prawną.

Jakkolwiekby, jeżeli likwidacya majątku nastąpi według żądania i planów dwóch kruków: cała sukcesyja nie wyniesie więcej nad pięćdziesiąt tysięcy franków. A więc jest tu ruina kompletna dla rodziny przywykłej do życia na stopę stutysięcy rocznego dochodu.

Ale ruina majątkowa nie jest to największe nieszczęście, jakie spada na biedną rodzinę. Pani de Saint Genis, która w małżeństwie swojego syna z panną Vignerówną, widziała jedynie znakomity posag, *dwóććć stotysięcy*, cofa dane słowo, skoro nadzieja posagu zniknęła. Pani Vignerona obrażona, nie opiera się ani na chwilę, i zerwanie związków przyjmuje, ale nieszczęśliwa Blanka nie może tak łatwo tego uczynić. Oczłga się u nóg okrutnej tej kobiety, która miała wkrótce stać się jej matką; czyni jej upokarzające, straszne dla niej wyznania, ale to nic. Pani Saint Genis znajduje w miłości swej macierzyńskiej dość szkaradnej odwagi, aby odepchnąć i zelżyć nieszczęśliwą, która dostaje obłąkania.

A więc niema nikogo, ktoby stanął w obronie tych nieszczęśliwych kobiet? Niema nikogo; bo młody de Saint-Genis jestto hultaj bez serca, a syn Vignerona, narobiwszy długów, których nie może zapłacić, zaciągnął się do wojska, jako prosty żołnierz.

Ale oto Teissier, stary kawaler, libertyn, chciwy, skąpy i bogaty jak krezus, czuje się wzruszonym wdziękami Maryi, drugiej córki Vignerona. Kiedy najstarsza z trzech, Judyta, lubiąca muzykę i sztuki, jest trochę marzącą i podnosi się ciągle do wyższej sfery, nad rodzimym poziom fabrykantów, Maryja jestto kobieta poważna, pełna rozważli i jedyna głowa rachunkowa w domu. Te praktyczne zalety i wdzięki młodej dziewczyny tak silnie oddziaływały na Teissiera, iż ma on ochotę romansować, a widząc, że go odpychają z pogardą obrażonej dumy, którą wybucha Maryja, Teissier reflektuje się i posyła Bourdona prosić panią Vignerona o rękę Maryi, i ta się poświęca, aby zapewnić przyszłość matki i sióstr swoich.

Taki jest koniec tej sztuki; na afiszu, jak we wszystkich ogłoszeniach, nosi ona to proste nazwisko *sztuki* (pièce) zamiast komedii lub dramatu. Taki jest koniec — po sukcesyji, sukcesorka, biedna gołąbka, staje się pastwą drapieżnego kruka. Zdaje się, że to i prawdziwie, i poludku, i potężniejszemu szczególnie. Ale to niezadowolono krytyki, której potrzeba było okras, osłody i pewnego przyrządzenia faryzeusowskiego. Zobaczmy zaraz, jak się wyraziła w tej mie-

rze krytyka, i jak się znalazła wobec sztuki, literacka publiczność pierwszego przedstawienia w Teatrze Francuzkim. Przypomina to sławnego Ducis'a z pierwszych lat tego stulecia, który przez wzgląd na tak zwany smak estetyczny francuskiej publiczności, łagodził, poprawiał i przerabiał poswojemu dramata tego barbarzyńca Shakespeare'a.

Prawda w oczy kole! Możeby sztuka skończyła się na tem owego pamiętnego wieczora, gdyby doskonała gra panny Reichenberg w roli obłąkanej Blanki, nie uśmierzyła gwizdań i krzyków!

Ten przymus zamilczenia, wynagrodziła sobie następnie publiczność — chrząkając, świszcząc, kwicząc przez cały prawie akt czwarty, który zresztą, zdaje się, że jest najslabszym z całej sztuki. Są tam wprawdzie pewne ustępy, jak, naprzykład głupie trochę przechwałki notaryusza, które psują efekt, ale widocznie część tej publiczności przyszła na to widowisko z przygotowaną naprzód manifestacyą, i pokazało się to jaśniej przy ogłoszeniu nazwiska autora, które zduszono i stłumiono świstem, stukaniem i gwałtownem pchaniem się do wyjścia.

Wielcy kapłani krytyki literackiej zarzucają p. Becque'owi, że chociaż jego zamiary są szlachetne i piękne, widzi on wszystko w kolorach załobnionych, zaczawszy od żalobnych szat rodziny Vignerona, aż do duszy kruków — czarno tu jak w piekle; zarzucają, że oprócz kobiet nieszczęśliwej rodziny, reszta osób są to złodzieje i łotry, że, zaczawszy od apoplexyi kończy na waryacyi, żalobie bez najmniejszego promyku pociechy. Jaktó! wołają, *niby zgorzeleni*: niema już na świecie ani przyjaźni, ani zacności, ani poświęcenia, ani odrobiny błękitu na niebie — wszędzie spotykamy jedynie — smutek i żalobę! Otoż publiczność nigdy się na to nie zgodzi, perorują, napierw ponieważ założenie jest fałszywe, bo świat składa się w równej części z dobrego i złego — bo... bo... i t. d.

Ale pod tą pokrywką rozumowań jest inny powód tej naprzód przygotowanej porażki autora *Kruków*. P. Becque obraca się w tej sferze naturalizmu, który blisko graniczy z wszelką republikańską dążnością. *Kruki* napisane kilka już lat temu, latały trochę po różnych kątach, nieznanym dla siebie siedlisku, odepchnięte od innych teatrów, jakże znalazły przystęp do sceny *Francuskiego Teatru*? A! otoż tu jest sęk. Powiada, że wyższe urzędowe do tego pomogły wpływy, iż Becque'a i jego *Kruki* wyprowadzono na tę scenę, jako pewien rodzaj odwetu za reakcyjną sztukę: *Świat, gdzie się nudzą*, Paillerona'a. Nie wiem i nie zaręczam, czy to wszystko prawda, ale rzecz pewna, że sztuka w następnych przedstawieniach została przyjętą przez prawdziwą publiczność dobrze.

Ale, jakgdyby ten początek sezonu przeznaczony był na same upadki sceniczne, zapiszemy tu drugie z rzędu niepowodzenie dramatyczne, chociaż na innym teatrze. Pamiętacie zapewne te imiona alzackich autorów: Erckmanna i Chatriana, i ten zbiór ich wdzięcznych powieści, gdzie spokojne życie tego zakątka, zakłócone wojowniczym duchem Napoleona I, rozwija się w obrazkach skreślonych nieraz prawdziwie mistrzowską ręką. W liczbie tych powieści znajduje się opowiadanie o wojnie prowadzonej nad Renem z pierwszych lat wielkiej Rewolucyi Francuskiej, pod naczelnictwem generała Hoche'a. Opowiadanie to ma tytuł: *Pani Teresa*. Autorowie, którzy mieszkają w Paryżu i już kilka razy wystąpili na scenę jako pisarze dramatyczni, utworzyli z owej powieści sztukę teatralną, przeznaczoną do rozpowszechnienia jakby patryotycznej i narodowej idei — owych-to szczęśliwych wojen z owego czasu.

Przedsięwzięcie to, niestety! bardzo szlachetne, nie powiodło się wcale. Powieść była piękna, a dramat stał się czemś śmiesznym. Niejaki Szymon, nauczyciel wiejski z Lotaryngii formuje batalion ochotników w celu połączenia się z armią generała Hoche'a. Jego córka Teresa towarzyszy mu jako wiwandierka. Ochotnicy manowcami dostają się aż do wsi Anstadt w niemieckiej części Wogezów, a ztamtąd do Kayserlautern

przez Landau i Pirmasenz. Tu zaskoczeni są przez pułk huzarów pruskich i wytopieni co do nogi przez *szesnastu* huzarów! nie raniwszy z nich nawet ani jednego. Straszna bitwa przegrana, aleresztki batalionu, które zostały za kulami, ratują się ucieczką. Wszakże ów Szymon, wiejski nauczyciel, śmiertelnie ranny, zostaje na placu, a przy nim równie raniona córka jego Teresa.

Doktor z Anstadtu ratuje i leczy niebogę i wybawia ją z rąk Prusaków i po rozmaitych, dość naiwnych, wykrętach przeprowadza ją do obozu Hoche'a. Jest to już siódmy z porządku obraz, a z ósmym kończy się sztuka. Tu następuje defilada armii francuskiej w "pięknych i nowych mundurach, ale złożonej z dwudziestu ludzi! Niezmierny efekt, — jestto przybycie sześciu huzarów na scenę, którzy reprezentują kawalerją tej armii z muzyką, sprowadzoną na ten koniec z sąsiedniego teatru. Jako interesujące intermedium trzeba zaznaczyć balet wyprawiony przez generała Wurmsera, który, czując, że jutro dostanie w skórę, chce się zabawić tymczasem. Jestto ulubiony francuski, a wyłącznie paryżski spektakl: dziewczki przystojne w mundurach huzarskich i pandurskich skaczące na scenie.

Ale zapomniałem powiedzieć, że stary Wurmserser co do tańca dał się uprzedzić woluntaryuszom z Festranges, którzy dostawszy się do Anstadt, zabawiają się przed ową sławną bitwą, każąc tańczyć przy świetle elektrycznym, cygańskiej hordzie!

Ostatni akt jestto straszna bitwa, w której pani Teresa i jakiś notaryusz biorą we dwójkę baterją austriacką i w chwili kiedy Teresa ze sztandarem w rękę wdiera się na płóciennne wały, i kiedy Austriacy musieliby uciekać koniecznie przerażeni widokiem Teresy i notaryusza bez broni, wlatuje nakoniec generał Hoche ze swoim sztabem, który się składa z dwóch mastalerzy z cyrku Franconiego, i ogłasza o odniesionem walnem zwycięztwie! Generał ściska notaryusza, ściska Teresę i woła wraz z nimi: „Za Rzeczpospolitą i za ojczyznę!“ Ma się rozumieć, że doktor z Anstadt zostaje Francuzem i żeni się z Teresą!

Sztuka skończyła się wśród śmiechu i żarcików publiczności. Nie krzyczano i nie świstano, jak w Teatrze Francuzkim w ciągu całego przedstawienia tej naiwnej prawie jarmarkowej zabawy, ale przy ogłoszeniu nazwiska autorów nasyciono się sówic i dotąd mi w uszach świdruje przeciągły świst moich sąsiadów. I prawdę trzeba powiedzieć: niema w tej sztuce ani jednej sceny, ani jednej sytuacji, ani jednego słowa, szczerzego i prawdziwego wzruszenia, któreby mogło poruszyć drażliwą żytkę publiczności. Części wojskowej braknie słów brzmiących, a rozmowie wystrzałów i kartaczy. Francuzi są i pozostaną, tak mi się to widzi przynajmniej, narodem wojowniczym i *Chauvinami*, jak sami powiadają o sobie, ale mają słusność świstać, kiedy ich patryotyzm obraca ktoś w błazństwo!

DROBNE LISTKI.

Balon elektryczny, budujący się obecnie w Paryżu, przez inżyniera Tissandier, mieć będzie maszynę elektryczną i pomocnicze baterie o pociągowej sile pięciu koni. Balon eliptyczny, objętości 106.000 stóp kubicznych, długości 131 stóp, a wewnątrz 60,7 stóp średnicy mający, unosić to będzie. Ponieważ będzie on posiadać siłę dźwignięcia 31½ tonów, więc po odtrąceniu przyrządów elektrycznych, będzie mógł jeszcze zabrać w podróży i balasćć cały jeden ton. Rachują, że przy spokojnem powietrzu zdoła ubiedz od dwuwastu do piętnastu mil geograficznych na godzinę, jednak szybkość taka nie dłużej nad kilka godzin utrzymać się będzie mogła. Właściciel zamierza zaraz po ukończeniu budowy odbyć podróż nadpowietrzną ponad Paryżem i wokół niego. Poszukiwanie skarbów w katedrze św. Dyonizysza zrobiło w Paryżu hałas wielki. Przed czterema

laty, niejaka Mme Chailhava stawiała się przed ministrem oświecenia z wiadomością, jakoby w podziemiach grobowych królów francuzkich, zachowano za czasów pierwszej rewolucji skarby wielkie, które ona odkryć potrafi. Pokazywała osobom, które zajęły się jej powieścią, laseczkę, mającą własność pochylania się w stronę szlache-tnych kruszców, przecież ówczesny minister ode-ślał ją z niczem. Po dwóch latach wystąpiła ona znowu przed innego już ministra z tą samą propo-zycją i oświadczyła, że złoży w ministerium skar-bu sumę kilku tysięcy franków, na bezpieczeń-stwo szkód, jakimi zrządzone przez poszukiwa-nia, nieporządku obciążyć-by mogły budżet zarzą-du gmachów państwa. Gdy wtedy pozwolenie da-nem jej zostało, pokazał się nagle brak pieniędzy i potrzeba było znów dwóch lat czasu, aby kapi-talista jaki, poszukiwany przez wytrwałą kobietę, znalazł się i pieniądze ryzykował. Stało się to nakoniec w przeszłym miesiącu, za zgodą oecne-go ministra, Duvaux, którego Francuzi w skutek tego zdarzenia nazywają: *Duveau*, wstęp do kościo-ła został otwarty i po kilku dniach robót, kobieta zawołała, że laseczka w jej ręku daje znak pożą-dany. Otworzono grobowiec, długi 1.70 szeroki 1.20, głęboki 1.50 metrów, i rzeczywiście, zna-leziono w nim kilka kości ludzkich, zardzewiały naparstek i stary klucz. Poszukiwaczka widziała w tem wskazówkę szczęśliwą i chciała, aby kopano głębiej, ale inspektor gmachów publicznych, nie dopuścił tego ze względów technicznych.

Kwiaty i owoce z czasu Faraonów, wystąpiły na-gle jakgdyby cudownym sposobem, przed oczy dzisiejszych ludzi, nietylko co do kształtu, ale na-wet co do kolorów tak wyglądające, jakgdyby rwane je przed kilku tygodniami i w zielniku przechowano. Poszukiwania, jakie dyrektor fran-cuzkiego Muzeum starożytności egipskich w Bu-laku Maspero, czynił w ostatnich czasach, zostały uwieńczone bardzo szczęśliwym i cennym dla nauki nabytkiem, znaleziono bowiem i do muzeum w Bulaku przewieziono cały szereg mumij królów egipskich z czasów najstarszych dynastji, lecz między niemi odkryto na głowach mumij, znalezio-nych w Dagr el Bahare, kwiaty owe, w niepojęty sposób doskonale przechowane. Kwiaty te są w części takie same, jakie dziś jeszcze znajdują się w Egipcie, w części nie istniejących już dziś gatunków, a niektóre każą przypuszczać, że przy-wiezionemi były z wysp Archipelagu Greekiego. Każda korona czy kielich tych kwiatów, były oso-bno w liść wierzby egipskiej lub innego jakiego drzewa obwinięte i żyłkami z liścia daktylowego zawiązane. Między kwiatami znajdują się też zasuszone podobnie owoce i... mumia osy!

Na szczycie góry Synai przez cesarza Justyniana w VI wieku po Chrystusie zbudowany klasztor, uległ w czasie ostatniej, anglo-egipskiej wojny, ciężkiej próbie. Klasztor, na wzór starożytnych twierdz, nie posiada żadnej bramy, żadnego wej-ścia zewnątrz i zamknięty tak sam w sobie, od ludzkiego świata odcięty, wznosi się samotnie wśród pustyni, jakgdyby zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Obecnie liczy on czterdziestu za-konników greckiego obrządku, którym żywność do-wożoną jest w regularnych odstępach czasu z Ale-xandryi, co przecież wśród zamieszek wojny, zo-stało nagle przerwane i przez czas jakiś, zakon-nicy, zagrożeni głodową śmiercią, żyli jedynie su-chemi daktylami i wodą. Bitwa pod Tel-el-Kebir kładąc kres wojnie, położyła zarazem kres temu okrutnemu postowi; przecież opat klasztoru, lęka-jąc się podobnego wypadku w przyszłości, urzą-dził dowóz z Suezu.

Okreś Murion, na którym niegdyś Napoleon I-szy z wyprawy egipskiej do Francji przybył, dzi-wnym zrządzeniem przypadku, zatonął w dniu, gdy flotta angielska, wśród operacji ostatniej wojny egipskiej, opanowała kanał Suezki. Stary okręt żaglowy, służył obecnie do strażniczej ze-

glugi nadbrzeżnej i nagle, jakgdyby wybiła mu godzina wyroczna, zaczął zanurzać się w morzu i w przeciągu pięciu minut poszedł na dno.

Winnemuka, księżniczka z pokolenia Indyan Pin-te, wytrwale, choć bezskutecznie dopominająca się u Yankesów praw dla nieszczęśliwego swego narodu, przemawiając ostatniemi czasy do zgromadzenia Amerykan, zakończyła rzecz gorzkimi słowy:—Wiem, że za jakie pół wieku nie będzie już żadnego Indyanina na ziemi, wiem i to, że pod wielu względami bieli są wyższymi od czerwono-skórych, ale nie są lepszymi, lecz przeciwnie, gor-szymi: są wydziercami, kłamcami, podstępniemi złodziejami ludzkiej własności. Spodziewam się też, że inna, lepsza rasa zjawi się i tak wytraci białych, jak oni wytracili nas. Nie mogę przecież twierdzić, aby Wielki Duch był sprawiedliwym i wszystko działa się dobrze na świecie...

Biednej Indyance trzebaby posłać słowa Pol-ki—Żmichowskiej:—Nie dziwuj się Bogu!

Zaludnienie Środkowej Afryki przez białych jest dziś już, nie marzeniem, ale pewnością, coraz bliż-szą rzeczywistością. Kiedy przecież Anglicy, Włosi, Portugalczycy, usiłują dać temu początek, wysyłając wyprawy, wznosząc kantory i faktorye, stacje, otwierając tę część ziemi dla handlu eu-ropejskiego, jak naprzykład ta, którą rząd portu-galski w Zaire urządza, zowiąc ją stacją koloniza-cyjną, Belgia działa bez rozgłosu, i pisma angiel-skie doniosły naraz niespodziewaną nowinę, że w Środkowej Afryce znajdują się cztery miasta, po-siadające domy, ogrody i są połączone ze sobą do-bremi drogami, a w każdym z nich jeden Europej-czyk rządzi, jako głowa gminy miejskiej, drugi jako starszy ponad nim naczelnik. Są to kolonie belgijskie, stanowiące cztery punkta jednego rze-du stacyi, które poczynając od rzeki Kongo, cią-gnąć się mają wzdłuż najbogatszych krain Afryki Środkowej. Fonduszów dostarczył tu i dostarcza obecnie król belgijski, którego agentem jest zna-ny podróżnik Stanley i ten-to przy pomocy kilku dobranych sobie towarzyszy, dokonał tego wa-żnego dzieła, które jest już otwarciem zamknię-tych dotąd dla europejskiego działania przestwo-rów ziemi. Król belgijski działa tu jako cywili-zator Afryki, i przedsięwzięcie, którego tak zna-czny już początek zrobiony został, ma ten cel moralny, aby uczyć, godziwie postępujący prze-mysłowiec, wypchnął rozbójniczego handlarza, który morduje i rozpaja Afrykę, a straciwszy już Amerykę jako rynek dla handlu Murzynami, roz-wozi obecnie ten towar ludzki po wyspach Oceanu Spokojnego.

Stowarzyszenie niebieskiego krzyża zawiązało się w Szwajcaryi, aby działać przeciw rozszerzającemu się gwałtownie picu wódki i w czasie Hygie-nicznego Kongressu, który w zeszłym miesiącu odbywał się w Genewie, lekarze szwajcarscy przed-stawili rzecz, jako grożące moralnemu i material-nemu rozwojowi Szwajcaryi. Podrózenie przed-miotów żywności, wpłynąć miało na tę zmianę nieszczęśliwą, której początek wychodzi jakoby z Niemiec i głównie też w Szwajcaryi mówiącej poniemiecku zło się zagnieżdżyło. W miejscu, gdzie dawniej zdrowy, dobrze wypieczony chleb i mleko stanowiły ważną część pożywienia ludno-sci, dziś rozgościły się kartofle i odwar cykoryi, zwany kawą, czemu jako środek wzmacniający dodano wódkę kartoflaną, którą kongres gene-wski uznał za wysoko niezdrowy i przez zło działa-nie na nerwy i mózg, najszkodliwiej rozpalający, ogłupiający trunek. Przecież trzeźwy dotąd wie-sniak szwajcarski obecnie pije „aby się wzmocnić“, z tego względu właśnie i dzieciom nawet wódkę daje. Na stoły rodzinne podawaną bywa zupa z wódki, którą się je łyżką na gorąco z kartoflami lub chlebem, pokrajanym w kostkę i tak zagoto-wanym w wodce, jak w zupie piwnej. Większa część wieśniaków, którym prawo akcyzne, w Szwaj-caryi nieistniejące, tego nie broni, pędzi sobie

wódkę w domu i małe alembiki tak stoją tam na kominach, jak zwyczajne garnki do gotowania. Kanton Bern liczy najwięcej takich domowych dy-stylarni; w okręgu Aarlborg wypada jeden alem-bik na głów trzydzieści. Cień Wilhelma Tella po-winienby tu zstąpić i pogruchotać wszystkie.

Osuszenie Genewskiego jeziora weszło dziś między te rozmaite projekta gospodarowania człowieka na globie ziemskim, które wiek nasz mnoży bez końca. Towarzystwo angielskie przedstawi-ło władzom kantonalnemu ten pomysł, ofiarując pięć milionów franków za jezioro i dno jego, które zostałoby osuszone zapomocą tunelu, przeprowa-dzającego wody jeziora pod korytem Rodanu i wle-wającego je w tę rzekę tam już, o kilka godzin drogi od wpływu jej w jezioro, gdzie łożysko rzeki jest położonem o osmdziesiąt metrów niżej, od brzegów jeziora. Grunt w ten sposób zyska-ny zostałby oddany pod uprawę zboża i winnic, a według zdania wielu inżynierów, przedsięwzięcie można przeprowadzić od skutku łatwiej i taniej, niż kosztowało niegdyś osuszenie Zuyder-See. Ze względu na klimat i naturę gruntu można spo-dziewać się tu korzyści wyższych niż tam osią-gnięte.

Siekiera miedziana znaleziona wśród mieszkań nadwodnych w Robenhausen, w Kantonie Zurych-skim, jest odkryciem bardzo ważnem dla nauko-wych badań przeszłości. Dotychczas nie można było twierdzić z pewnością: czy istniał peryod, w którym człowiek starożytny używał miedzi bez domieszki cyny, czy zatem istniał peryod mie-dziany?

Zamek Heideberski należący do najwspanialej pięknych ruin Niemiec, ma zostać odbudowanym przedsiębiorze to uczynić niemieckie Stowarzysze-nie Architektów i Inżynierów. Na wniosek rzeź-biarza Schollz Moguncyi, postanowiono wysłać na miejsce kommissyą dla obejrzenia technicznego i zbadania murów jeszcze stojących, a których stan będzie rozstrzygał o dalszych krokach w tym celu. Zamek heideberski ma w Niemczech równe so-bie co do piękności tylko dwie ruiny: Albrechts-burg w Meissen i zamek Henryka Lwa.

Dziewięćdziesiąt pięć lat mieszkać w jednym domu i przenosić się ztamtąd nie do grobu, jest czemś tak bolesnem, że litość budzić musi, a taki wła-snie los spotkał obecnie w Hamburgu sędziwą ma-tronę, Dreier, która w domu, położonym przy uli-cy Schlaterstrasse urodziła się, była w nim ochrzc-zona, wychodząc za mąż nie porzuciła go i za-mieszkała w nim z mężem, tego tu straciła, tak jak poprzednio rodziców, i spodziewała się, że ją ztąd wyniosą tylko w trumnie. Lecz dla wzglę-dów przebudowywania ulicy, dom ten, już też bar-dzo stary, został skazany na zwalenie i staruszka, musiała się z niego wynosić. Znając ją prze-powiadali, że umrze, próg przekraczając, ale nie—przeżyła to, co pod pewnym względem można na-zwać wygnaniem, bo wygnanie to jest zapomnięty wszystkich pamiątek, wszystkich wspomnień ży-cia, zachodzącego za nieboskłon ziemski.

Sprostowanie.

W niektórych egzemplarzach Nr 43 *Bluszozu*, w artykule *Przegląd piśmienniczy*, w wierszu 3 od końca, czytać należy, zamiast „Paprocie“ — „Po-rosty“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszozu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Żelazo**.

TREŚĆ. W dzień zaduszny, (poezya), przez M. I. — Wspomnienie poety, zyciorys, przez M. I. — Ostatni figiel pana Wojszczyca. — Grobowiec króla-pokutnika, (dalszy ciąg), przez S. K. — Przegląd teatralny, — Przegląd piśmienniczy, (dokończenie), przez Dra G. Fritsche. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Октября 1882 года.